

Urszula M. Benka

Piskliwa ścieżka

(2)

Już od lat 70. sztuka świadomie ograniczała symbol, oderwanie od tu i teraz; coś, co było w wypadku Celana albo Różewicza odruchem albo niemożnością, artystycznym opuszczeniem rąk, dostąpiło rangi obowiązującej konwencji literackiej.

Konwencji niekoniecznie zresztą osobieście lubianej, niemniej gwarantującej pozycję na literackim rynku; należy pamiętać, że mówię tu o rodzicach pokolenia, które „nic nie czyta” a książka rangi Paula Celana bez jego markowego nazwiska byłaby dla wydawcy nieopłacalna.

Konwencyjne „tu i teraz” podlegało cenzurze, w rezultacie wszystko, co ukazywało się w obiegu oficjalnym, miało przyzwolenie cenzorskie, a to, co w drugim obiegu, przyzwolenie Kościoła i zachodnich, z reguły politycznych mecenasów. Chodzi mi o wyżuwalny nad sztuką niski pułap publicystyki, układności, zatem rodzaj manipulacji, ta zaś zawsze powoduje konflikt z wielkim realizmem. Nie jest trudno o wyniosły stosunek opozycjonisty do realizmu, na jakim wyrastał zachodni underground; opozycjonista nie miał i nie chciał mieć doświadczenia wykluczenia.

Z tego punktu widzenia realizm opozycjonistów był zarazem koturnowo apolliński. Poezja Jawienia, Barańczaka, Herberta, którzy nigdy nie posunęli się do zatracenia własnego ja ani do bluźnierstwa, ani odrzucenia świata pojmowanego jako własność człowieka, i nie *odzyskiwali wzroku* innego niż podsuwany z zewnątrz w gotowych formułach, wytyczała pion ku niebiosom. Przyswierała jej kultura jasna. Mickiewiczowska. Sprawiedliwa acz wyrozumiała. Godna czci. Mało kto wtedy orientował się dokładniej w mitologii Apollona. Przemawiały do wyobraźni obrazy takie: oto wyprostowany Apollon gra na Parnasie w otoczeniu Muz, spokojnych dziewcz. Trzyma lirę lub harfę, ucho czułe jak u Chopina w Łazienkach. On nie uwodzi Muz, nie pozwala sobie na absolutnie żaden obleśny gest. Wzniosłość, jaka wymaga usytuowanego niżej audytorium, słodki smutek samowystarczającej duchowej emigracji z uczt olimpijskich! Hierarchizacja zamiast spazmu! A zatem lira i harfa. Apollonowi przynależą instrumenty noszące uporządkowane ukojenie. Nigdy nie wydają dźwięków hulaśliwych, piskliwych, burzących ład jak Dionizosa fujarki, flety, syringi, aulosy, jerychońskie trąby czy saksofony. Dionizos lubi dęte instrumenty, a w ekstazycznym uniesieniu nie trąca się w nie ani nie muska struną ręką subtelną jak strusie pióro. Na dętych gra się pełną pierśią, całym ciałem. Orgia to znacząca pełnia. Dionizyjskość bez orgii jest nie do wyobrażenia, jest nonsensem. Orgia bywa pokraczna, tragicomicz-

na. Zezwierzęcona – czyste przeciwieństwo apollińskiego spokoju. I agresywna, a w tym zwracająca się z pazurami przeciw wszelkim Orfeuszom. Aczkolwiek Apollon co jakiś czas opuszczał słoneczną Helladę i udawał się hen, na zaśnieżone północne stopy, nad górny Dniepr i Don, i tam zamieniał się w skowyczącego wilka. Mógłby mieć zarośniętą twarz Jacka Nickolsona w *Wilku Mike'a* Nicholasa. Przemieszczał się też powozem zaprzęgniętym w mnóstwo piszczących myszy, te zaś uważano za zwiastunki śmierci.

W swoim znakomitym eseju przed laty Ignacy Danka przedstawił, jak zdumiewająco konsekwentnie mity ukazują tego boga jako zimnokrwistego zabójcę. Makabryczna natura Apollona i apollińskości została całkowicie wyparta z obrazu, jakim delektuje się koneser: jego Apollo z Bellac, Apollo Belwederski nie ma nic wspólnego z ujuszonym Zazdrosnym Bogiem, dyszącym nad ochłapami rozdartego właśnie rywala, Marsjasza, świetnego twórcy, ale zaledwie człowieka. Marsjasz stanął do rywalizacji, przegrał. Co powtórzyło się w duchowym inkubatorze lat '80 i '90, przy czym Apollon pożarł także sztukę, czy też, ściślej to ujmując, wyżarł ze sztuki *mana*. Ze sztuki w jej rozumieniu tradycyjnym: podziwianych dzieł, wobec jakich stawaliśmy pokorni a dzisiaj jej mijamy bez zaciękawienia. Pokora to uszanowanie autonomii, przeciwieństwo władzy. Daniel Olbrychski wprowadził prymat impulsywnego gestu nad autonomią dzieła. Wbiegł z szablą na wystawę i pochłastał niestosowne fotografie. Ten genialny aktor, rewelacyjny odtwórca roli pana Kmicica, wcelował się zarazem głęboko w podświadomość polską, ta zaś jest wciąż sarmacka. Zawładnęła galerią. Przetarł drogę swoim następcom w brutalności. Masowy odbiorca woli coraz intensywniejsze obrazy w cyberprzestrzeni, woli mowę internautki Ruchadełko leśne od *Pana Cogito* a nawet *Ziemi jałowej*, *Wycinki*, *Wujaszka Wani* – oklaskuje takie utwory z zupełnie innego powodu, oklaskuje po prostu wypatrzone za plecami idola konfitury.

Jeśli sztuka oddaje to, co podświadome, artefakty są są tylko jednym z elementów sztuki jako zjawiska, wolno rzec, iż sztuka zmierzchu realnego komunizmu oddawała skryte pragnienie charyzmatycznej władzy w odpowiedzi na brak spazmu. Ponieważ władza była konfiturami, do słoika sztuki wkładano palce, aby ukradkiem je chociaż obliżać. Zwykle na skromnym poziomie szlachciury bez pretensji do wojewodzińskiej buławy. Nikt zgoła nie pragnął cytować markiza de Sade, iż „Nie ma nic bardziej fundamentalnie, dogłębnie anarchicznego niż Władza – jakkolwiek władza”, artystycznie zmagać się z wielkością wymienionych tu już Andrzeja

Jawienia, Zbigniewa Herberta, osobno, skoro trzymamy się poezji, Czesława Miłosza, raczej przystawano do ich orszaków, pyszniono barwami jak hajducy księcia Dominika Zasławskiego i odpowiednio traktowano gardłujących za Jarema. Przy takim sarmackim, feudalnym oddwaniu wolności w zamian za bezpieczeństwo, marzeniem była władza dobrotliwa, akceptowana bez zastrzeżeń jak car ze szkolnej czytanki.

Tu przystąpimy na dłuższą chwilę. Chodzi mi o wychowawcze czytanki co do jednego przodka każdego, kto szczydzi się dziś pochodzeniem z Kresów, Litwy czy Warszawy. Rodzice Witkacego, organizujący dziecku wyłącznie domową naukę, należeli do wyjątków. Chlubny przodek otóż w razie wizytacji jakiegoś rewizora nie odbiegał wiele od postaci w *Rewizorze*, tyle że w jego papce edukacyjnej nie brakowało pitych aż do zadyszki strof *Pana Tadeusza*

Wszystko tutaj Polską żyje, wszystko tutaj Polską dyszy.

Norwid i Słowacki jeszcze nie istnieli w świadomości. Tym bardziej Nerval ani Nodier, ani Baudelaire. Ani zachodni mit arturiański, jaki stworzył głębię romantyczną, na jakim rozkwitł romantyzm. Co więcej, na wieszczą-cara nadrukowany został mały Polak Wincentego Poll von Pollenburg, wykładowcy języka i literatury niemieckiej na uniwersytecie wileńskim po reformie Nowosiłcowa, polskiego neofity, który cenił ordnung, aczkolwiek, jak to za caratu, i arystokratyzm, po matce wszak Eleonorze Longchamps de Bérier

*Dokąd idziesz?
Z braćmi swemi –*

byle nie po swojemu. Wincentemu Polowi przyznano *Virtuti militari*. Za co? Za patriotyzm krwią i blizną w powstaniu 1830, za pomoc chętnym do emigracji – tym nielicznym statystycznie szlachciom, którzy przystali do buntu, co oczyściło kraj z najaktywniejszych oburzonych. Każdy tedy, kto dzisiaj szczydzi się przodkami z Kresów i walczącej Warszawy, ma wdrukowane przyjmowanie na bacność „wartości” o mocy pięści, a jego myślenie o sztuce ujawnia jeszcze wiele następujących po sobie ścianek inkubatora – choćby tę, że czcimy romantyzm nigdy go nie tworząc i nie przeżywając. W świadomości rzeczywistego Polaka-sybiraka, powtórzę, nie istnieli Słowacki ani Norwid, dopiero w międzywojniu wywoływali z nicości; ich fenomen romantyzmu wyczerpywał Mickiewicz, wedle Miłosza „klasyczny z ducha”, a który „stworzył swoje główne dzieła poza roman-